

Hanna Cygler

**GRA na
CZTERY**

TEJ AUTORKI POLECAMY

Odmiana przez przypadki

Dobre geny

Bratnie dusze

Tryb warunkowy

Deklinacja męska/żeńska

Przyszły niedokonany

W cudzym domu

Kolor bursztynu

Grecka mozaika

Głowa anioła

Dwie głowy anioła

Złodziejki czasu

Czas zamknięty

Pokonani

Za cudze grzechy

Przekład dowolny

3 razy R

Tylko kochanka

Nowe niebo

Hanna Cygler

**GRA na
CZTERY**



DOM WYDAWNICZY REBIS

Copyright © 2019 by Hanna Cygler
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2019

Redakcja
Małgorzata Chwałek
Adam Wolański

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Katarzyna Borkowska/kb-design@o2.pl

Fotografia na okładce
© Alamy/BE&W

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2019

ISBN 978-83-8062-484-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Prolog

Sklep GS, Kolonia Górna, 1982

Kolejny ponury dzień, którego nie powinno się pamiętać, stwierdziła, wyglądając przez okno przed zamknięciem kraty. Ponownie zerknęła na zegar. Jak ten czas się wlecze. Zdążyła przetrzeć ładę, a minęła zaledwie minuta. Za dziesięć szosta, czyli tak naprawdę za piętnaście. Zegar się zawsze spieszył. Uporała się z kratą i obrzuciła wzrokiem pomieszczenie.

Pusta witryna z nabiałem. Wyczyszczona tak dokładnie, że nie było nawet widać pyłku. Na półkach też niewiele stało. Żeby nie świeciły pustkami, starała się stawiać na nich trochę towarów, którymi i tak nikt się zbytnio nie interesował. Na jednej słone paluszki, na drugiej bateria past BHP do czyszczenia rąk. Octu zaledwie trzy butelki. To trochę dziwne, bo inni mówią, że w mieście można dostać tylko ocet i musztardę. No, musztarda jest. Sarepska. Sama ją najbardziej lubiła.

Na najwyższej półce butelki z napisem: „whisky”. Dyrektor szkoły powiedział jej, że to alkohol. Był jednak tak drogi, że nikogo we wsi nie interesował. Po co jej to przywieźli? Zaopatrzeniowiec wzruszył ramionami. „Zgodnie z rozdzielnikiem”. A kiedy będzie ser i wędliny? Roześmiał się tylko, wyraźnie ubawiony jej uwagą. „Pani kierowniczo, a kiedy się wybieremy na Księżyc?”

Taki wesołek z niego. Niezbyt wprawdzie rozgarnięty, ale porządny człowiek. Przed świętami wcisnął jej kilka kilogramów

pomarańczy kubańskich. Rozważyła je dokładnie na zapleczu. I podzieliła według własnego uznania. Dla księdza, sołtysa, partyjniaka, co wprawdzie mieszkał w Kolonii Dolnej, ale stale zajeżdżał do jej sklepu, dla pediatry z przychodni. Dla Gabrysi zatrzymała pół kilo. Wycisnęła z nich sok, ale niewiele go wyszło. Małej i tak nie zasmakował. Krzywiła się jak po cytrynie i pluła nim po kuchni. Niełatwo ją było nakarmić, oj, niełatwo. Ze też się jej trafiła taka kruszyna, niejadek.

– Jak francuski piesek – dogryzła jej stara Kurzakowa. – Kto to widział, żeby dzieciaka tak rozpuszczać. Jak zgłodnieje, to wszystko zje.

Może tak by było, ale kiedy widziała te bledziutkie policzki i chude nożyny, od razu brała się do wciskania jej w dziobek najlepszych, zaoszczędzonych frykasów. A co dzieciakowi żałować? Nie ma wprawdzie ojca, ale matka to nie byle kto, kierowniczką gminnej spółdzielni!

W Kolonii dobrze jej się żyło. I to od samego początku. Od kiedy nastąpiła Solidarność i nie było co do garnka włożyć, miejscowi hołubili ją jak jakąś królową. Uśmiechali się do niej uniżenie, licząc, że coś dla nich odłoży z najbliższej dostawy. I tak też robiła. Sprawiedliwie dzieliła! No chyba że ktoś jej podpadł, wtedy nie było zmiłuj. Chłopy to nawet obcasami stukali, kiedy po fajki przychodzili. Nie zaprzeczy, że te hołdy jej się podobały. Nie miała żadnych problemów, żeby Gabrysi znaleźć opiekunkę ani też z wynajęciem pomocy do palenia w piecu. Wystarczyło tylko zadać pytanie, a natychmiast padała odpowiedź. Kilku to nawet chciało się z nią żenić. Z uśmiechem na ustach odmawiała wszystkim. I tym szkaradnym, i tym, co nawet piękniejsi od diabła byli. O nie, nie zamierzała wychodzić za mąż. Raz już jej padło na głowę, że dała się zwabić na słodkie słówka, ale wystarczy tego dobrego.

Chwyciła energicznie miotłę i zaczęła zamiatać podłogę.

Mocno ubłocona. Nie obejdzie się jednak bez mokrej szmaty. Ludziska wprawdzie wycierali nogi, od kiedy położyła przy drzwiach wycieraczkę, ale w taką pogodę nie można się dziwić, że nanieśli błota.

Trudno, ogarnie to wszystko jak najszybciej i pobiegnie przez topiący się śnieg do córeczki. Tak bardzo za nią tęskniła.

Nie ufała Kurzakowej, która niedowidziała i pewnie z garnka co lepsze kawałki sama wyjadała. Nie było jednak wyjścia. Musiała pracować. Nie dla niej siedzenie w domu i bawienie się z Gabrysią. Sama się tak urządziła, choć niektórzy ją przecież ostrzegali. I nie posłuchała.

Poszła wylać wiadro z brudną wodą do ubikacji, gdy usłyszała dzwonek przy drzwiach. Ktoś się pchał do środka.

– Zamknięte! – krzyknęła i nawet nie opłukawszy rąk, pośpieszyła z powrotem do sklepu.

Patrzyła tylko na podłogę. I na ślady pozostawione przez męskie buty.

– Mówiłam...

Ciągnęłaby dalej, gdyby nie ochrypli głos:

– Tylko tu nie drzyj gęby! – Mężczyzna w ręku trzymał siekierę. – Dawaj forszę, bo ci łeb odrąbię.

Kolana pod nią zadrżały. W ustach momentalnie zaschło. Bała się podnieść wzrok.

– Już daję – wyjąkała jak najciszej.

– Ruszaj się.

Na nogach jak z waty przeszła do kasy. Leżał pod nią nóż do rozbierania mięsa. Od dawna nieużywany.

– Ruszaj się, kurwo! Nie mamy czasu – warknął.

Nagle zrozumiała. Uniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę w czapce mocno ściągniętej na oczy. Podniósł siekierę.

– Nie rób mi krzywdy! Proszę! Wszystko oddam.

Przed oczami stanął jej obraz zapłakanej Gabrysi. Wołała mamę!

Sięgnęła po klucz do kasetki, ale ręce tak bardzo jej się trzęsły, że go upuściła. I to uratowało jej życie, bo kiedy się po niego schyliła, ostrze siekiery wbiło się w ladę. Niemal musnęło jej głowę. Miała tylko moment na reakcję. Był zajęty siekierą, a ona już pochwyciła nóż. I...

– Ludzie, ratunku! – krzyczała z całych sił, dźgając nożem na oślep. Nie da się nikomu skrzywdzić. Ani swojej córki.

Świeżo umytą podłogę powoli zalewała kałuża krwi.

Rozdział I

Gdańsk, 2010

- Tato, wracaj wreszcie! – prosiła bez większej nadziei.
- Naucz matkę obsługiwać Skype’a – mówił nieporuszony jej błaganiem.
- Przemęczasz się tam. Musisz przecież odpocząć.
- Już się w życiu nawypoczywałem. Najpierw mnie sama gonilaś do tych nowości, a teraz ci się odwiedziało?
- A myślałaś o mamie? O wnukach?
- Których? Tych w Ameryce? Bo od ciebie się już raczej ich nie doczekam.

Jak on mógł?! Trudno było się uspokoić po tej rozmowie. Rodzina Miśki, a zwłaszcza ojciec, miała wyjątkowy talent doprowadzania jej do szału. Teraz wszystko się w niej aż trzęsło, a miał to być taki dobry dzień. Majowe słońce, przechadzka po plaży, a po południu dyżur w redakcji. Przynajmniej po-pracuje i nie będzie się smucić.

Wstała z pluszowej kanapy. Natychmiast pojawił się przy niej Rudi i zaczął ujadać.

– Cicho! Siad! Przed chwilą wróciliśmy, potworze. – Widziała wyraźnie, że za potwora się obraził, ale trudno. Pokręcił się chwilę za ogonem, po czym odszedł do przedpokoju i warknął na Fifinkę. Kotka odpowiedziała mu prychnięciem.

I to są, tato, twoje wnuki, mruknęła do siebie Miśka. I to na dodatek nie własne, tylko chwilowo adoptowane. Że też ją

coś takiego w życiu spotkało! Ale cóż, *pecunia non olet*. Nawet kocie siki na kanapie, bo takie ekscesy Fifince się zdarzały, trzeba znieść dla kasy.

W ubiegłym tygodniu Miśka przedłużyła wynajem swojego mieszkania w falowcu i tym samym przypieczętowała swój los. Kolejne pół roku spędzi wraz z Rudim i Fifinką. Koleżanka, która poprosiła ją o opiekę nad nimi, wyjechała na roczne stypendium do Stanów i bała się powierzyć je przypadkowym lokatorom.

Nic dziwnego, pomyślała Miśka. Takiego mieszkania też bym obcym nie zostawiła. Sto metrów kwadratowych, trzy wielkie pokoje, kuchnia, łazienka, osobno ubikacja! Można się tu bawić w chowanego. Do tego pełne umeblowanie, bo Jolka uwielbiała puszczać kasę na bogaty wystrój. Perfekcyjny dobór kolorów, mebli, oświetlenia i dekoracji. Idealne na zdjęcia do magazynów o designie. Ale oczywiście każda idylla ma też ciemne strony. W tym wypadku nie był nią akurat brak minimalizmu, którym Miśka się otaczała przez długie lata. Już taka rozpuszczona to nie jest. Były inne złe uroki tego miejsca: Rudi – wilczur, który zyskał imię po Valentinie, najgłupszy pies świata, i Fifinka – złośliwa kocica, która nie znosiła ludzi, a nowej pani w dwójnasób. Obecnie najbliżsi kumple!

Jak to się mogło stać? Jeszcze parę lat temu Miśka była duszą towarzystwa, chodziła na huczne imprezy trwające do późna w nocy, z przyjemnością brała udział we wszystkich wydarzeniach kulturalnych Trójmiasta, a jej telefon wprost się urywał od atrakcyjnych propozycji spotkań. I nagle koniec!

– Misiu, zamieszkaś ze mną? – spytał Grzegorz Domaradzki, kiedy wrócili z eskapady żeglarskiej trzy lata temu.

– Oczywiście – odpowiedziała i zanurkowała w jego ramiona. Wówczas chciała w nich pozostać już na zawsze.

Zachwycona nowym życiem zaczęła odmawiać znajomym wspólnych wyjść i balang. Wolała bawić się w dom z Grzegorzem. Stopniowo telefon przestał dzwonić. I nagle została sama. Później chciała odbudować stare przyjaźnie, ale bez powodzenia. Nagle dawni znajomi wydali się bezbarwni, a rozmowy tak jałowe, że aż wyczerpujące. Miśka nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Czy coś się z nimi stało? A może z nią?

Spojrzała na siebie w sypialnianym lustrze.

Zestarzała się, to pewne. Wkrótce skończy czterdzieści lat. Nic nie pomoże wygładzanie kurzych łapek wokół oczu. Przytyła ze dwa... no, może trzy kilo.

Wyprostowała się i poprawiła bluzkę na brzuchu. Niedługo zrzuci ten nadbagaż dzięki codziennym spacerom. To już postanowione.

To wszystko wina tego cholernego Grzeška, zawyrokowała. Przez niego tak się stało. Została udomowiona jak jakiś... kot! Zerknęła na rozwaloną na jej łóżku Fifinkę. No, inny kot.

Przyzwyczała się do wspólnych śniadanków, obiadków, wspólnego śmiechu przy oglądaniu niezbyt mądrych filmów, dotyku, pocałunków. Nie powinna dalej wymieniać, bo już zaczyna ryczeć. Minął rok, a ona wciąż nie może się otrząsnąć. Dziwne, bo wcześniej za każdym razem dramatycznie rozpaczała, a po paru miesiącach stawała na nogi. Tym razem nie było zbyt wielkiej rozpaczki. Może dlatego, że tak bardzo wściekała się na Grzeška. Do tej pory na samą myśl o nim zaciskała się jej szczęka. Kiedyś to musi przejść. Może.

Miśka miała ochotę pogadać o swojej sytuacji z jakąś bratnią duszą, tylko że te również wywiało z najbliższego sąsiedztwa. Aldona Kierc wyjechała z córką i wnuczką do Anglii. Wyglądało na to, że zupełnie otrząsnęła się po dramatycznych wydarzeniach sprzed trzech lat. Była teraz spełnioną babcią. Maja studiowała, Aldona malowała i opiekowała się wnuczką. Jej

obrazy zyskiwały coraz większą popularność, a to dodawało jej skrzydeł. „Nie, żadnych mężczyzn, przynajmniej na razie”. Rodzina składająca się z trzech kobiet funkcjonowała doskonale.

Weronika Knyszewska też się wyniosła z Polski. Osiedła z mężem w Brukseli i bywała w wyższych sferach. Jej dzieci rosły, chodziły do prywatnych szkół, co dawało jej czas dla siebie. Zdarzało jej się wpaść odwiedzić rodzinę w Gdańsku i bywało, że znajdowała chwilę dla Miśki.

– Nie rozumiem tego, nie kapuję. Odwaliło ci? – udało jej się żywołowo skomentować sprawę Grzegorza, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiały.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Tak, i to od trzech godzin. Jedno i to samo.

Miśce zrobiło się wówczas przykro, bo dobrze pamiętała trudne chwile w życiu przyjaciółki, kiedy to sama musiała jej wysłuchiwać godzinami.

– I uważasz, że to moja wina?

Weronika kręciła głową i wzdychała, po czym raczyła ją banalami z poradnika *Jak stracić mężczyznę i go odzyskać*. Zaczęła mówić co innego, dopiero kiedy Miśka zręcznie zmieniła temat na „międzynarodową karierę Weroniki Knyszewskiej”. Można było wówczas odetchnąć pełną piersią, gdyż malarka nigdy nie rezygnowała z tak łakomego kąska, jak omawianie jej twórczości. O tym można było pięć godzin bez zaśnięcia!

Był jeszcze Stefan Żurek, a w zasadzie go wcale nie było. Od trzech lat pracował w warszawskim wydaniu „Nowin Dnia”. Ten się przynajmniej systematycznie odzywał. Co miesiąc wysyłał jej średnio zabawny mem. Odwdzięczała się piosenką z YouTube’a. I to wszystko, jeśli chodzi o ich relację.

Nie spotkała go od wspólnego rejsu na wyspy greckie. Dziwne, bo przecież czasem wyjeżdżała służbowo do Warszawy. Wprawdzie coraz rzadziej, ale czasem była tam jeszcze po-

trzebna. „A Stefan w terenie”, mówili w redakcji, kiedy o niego pytała. Nigdy nie przekazał jej przez kolegów żadnych pozdrowień. Cholerny dziwak.

To podsumowanie przyjacielskich relacji sprawiło, że poczuła się samotna jak palec, jak biały żagiel, jak kołek w płocie. Wszystko razem do kupy. Najwyższy czas zamknąć laptop i ruszyć na spacer, zadecydowała w końcu.

Laptop nie chciał się zamknąć, gdyż zaciął się na otwartym pliku pdf.

„Majowy koncert kwartetu smyczkowego Baltica Suprema w Ratuszu Staromiejskim z udziałem słynnej sopranistki Niny Walner”.

Ci wszyscy słynni i wybitni to już jutro? Miśka spojrzała w kalendarz. Rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniała, a przecież przysięgła, że do nich przyjdzie i napisze artykuł. Już trzy razy nie udało się jej dotrzeć na koncert i teraz nie miała żadnego usprawiedliwienia. Tym bardziej że z szefową kwartetu, Łucją, znały się od wieków i nie mogła znów jej zawieść. Co tydzień otrzymywała od niej mejle i esemesy przypominające o tym wydarzeniu.

Baltica Suprema – kolejny zespół muzyczny, zapewne zwarty i gotowy do walki o granty i stypendia. Ciekawe, czy przekonają do siebie ludzi, bo jednak jakąś publiczność powinni mieć. Co chwila trzeba wymyślać jakieś nowe konstelacje i cuda-wianki, by przyciągnąć słuchaczy. Współczesnego człowieka mierzi tradycja i rutyna, musi stale czegoś szukać. Najlepszym przykładem homo (podobno sapiens) jest Michalina Woźniak, która zawsze była za przygodą i nowością. Właśnie, przypadkowo użyła chyba właściwego czasu. Była.

Miśka przez chwilę wpatrywała się w ekran, a po chwili jej palce zaczęły śmigać po klawiaturze.

„Kochana Lusu, z przyjemnością przyjdę. Czy mogę być

trochę wcześniej, żeby z Wami pogadać? I proszę, przyslij mi info o Twoich muzykach”.

Oj, to ostatnie musi skreślić. Przecież Łucja wspominała, że to kwartet żeński. Zmieniła na: „o Was”, i wysłała wiadomość. Poza spamem nie było żadnych nowych mejli. Zamknęła więc laptop i przebrała się w strój sportowy.

Tak, ona na sportowo. Tym razem będzie wędrować po plaży nie w szpilekach i wąskiej spódnicy, tylko w butach Nike i bluzie polarowej. Do tego doszło! Już od dawna przestała to traktować jako upadek. Zmieniła styl, więc i życie się jej zmieniło. Zegnała niezadowolonego Rudiego z wyra i przypięła mu smycz. Tępał dopiero teraz zrozumiał, że idzie na spacer, stwierdziła Miśka. Z luksusowego mieszkania wyszła na obскую klatkę schodową.

I to była właśnie ta druga ciemna strona chwilowo pozostawionego w rękach Miśki dziedzictwa. Eleganckie lokum przy ulicy Rybołowców znajdowało się w kamienicy z dziewiętnastego wieku, wybudowanej w stylu eklektycznym, ozdobionej balkonami i wieżyczkami. Ślady dawnego piękna były coraz mniej widoczne ze względu na zły stan fasady. Wszystko się kruszyło i chyliło ku upadkowi. Ale nadzieja umiera ostatnia.

– Zobaczysz, jak tu jeszcze kiedyś pięknie będzie – obiecywała Jolanta, właścicielka mieszkania, która na przekór wszystkim i wszystkiemu nie zamierzała się wyprowadzić z Nowego Portu. – Dawna dzielnica portowa – tłumaczyła koleżance, jakby ona sama o tym nie wiedziała. – I wcale tu nie jest niebezpiecznie. To tylko legendy miejskie. Będzie ci się tu świetnie mieszkało. Poznasz fajnych i ciekawych artystów z sąsiedztwa. Poza tym wkrótce przeprowadzą rewitalizację dzielnicy. Jeszcze się doczekamy!

Powiedzmy! Do tej pory nie poznała żadnego artysty poza miłymi dziadkami sączącymi piwo na skwerze. Patrząc na kru-

szący się mur kamienicy, Miśka się zastanawiała, kto pierwszy wygra walkę z czasem. Długo to nie trwało, bo wilczur Rudi puścił się nagle do przodu, wyrывая jej smycz z ręki.

– Stójże! Ruudi! – Miśka rzuciła się w pogoń, ale pies zdążył już zniknąć za rogiem.

Jak ona nie lubiła sportu! A zwłaszcza sprintu! Nie miała jednak innego wyjścia, jak tylko biec za tym nieobliczalnym zwierzakiem. Na szczęście nie w szpilkach. Na niewiele jednak jej się to zdało, gdyż nogi nagle się jej rozjechały i poczuła się jak na lodowisku.

O matko, zdążyła pomyśleć, zanim klapnęła w kałuży na chodniku, potwierdzając jedynie swego życiowego pecha. Jedyna kałuża na całej ulicy. Od paru dni w ogóle nie padało.

– Pomogę pani – usłyszała męski głos, ale nim zdążyła zareagować, męskie ramię wywindowało ją do pionu.

– Dziękuję! – Otrzepała siedzenie. Portki były przemoczone, więc ze spaceru nici. Tylko gdzie ten cholerny kundel?

Rudi obwąchiwał tył białej pudliczki. Facet z pudlem, czas umierać!

Mężczyzna w skórzanej kurtce motocyklowej podniósł smycz i podał ją Miśce.

– Wyrwywny gość.

Taa, powiedzmy. Coś nieprzyjemnie szczypało na kolanie. Pewnie się otarło i będzie strup.

– Da pani sobie radę? Może odprowadzę do domu?

Ha, a potem zgwałcę i obrabuję dom. Nic z tego.

– Nie, dziękuję. Już wszystko w porządku. – Miśka uśmiechnęła się przez podchodzące do oczu łzy. Zauważyła, że mężczyzna jest wysoki i dość przystojny. Miała wrażenie, że go już wcześniej widziała, tylko w zupełnie odmiennych okolicznościach. Z pewnością nie w Nowym Porcie. Była jednak zbyt oszołomiona upadkiem, żeby o tym w tej chwili rozmyślać.

Rozdział II

– Nie pojedę za tyle, przecież wiesz, jaką stawkę biorę – mówiła zdenerwowana Bianka przez telefon. – Nie rozumiem, jaka ustna umowa? Kto się umawiał, bo chyba nie ja. Co z ciebie za negocjator? Mówisz, że masz mnie dość? To raczej ja mam cię dość. Przełało się. Koniec! – I się wyłączyła. Wściekła skasowała nazwisko swojego menedżera z listy kontaktów.

Był zupełnie beznadziejny i w dodatku gburowaty. Ani z niego organizator, ani negocjator. Poza tym łatwiej było skontaktować się z nią samą niż z nim. Bianka nie miała cienia wątpliwości, że trzeba się z nim pożegnać, choć ich współpraca trwała zaledwie pół roku. Trudno, poradzi sobie. Miała przecież drugiego agenta w Anglii.

Kiedy dotarła do garderoby, zobaczyła, że jest ostatnia. Wszyscy muzycy już się rozeszli po próbie. Znowu była sama. Westchnęła i otworzyła szafkę. Był ciepły maj, więc trzymała w niej tylko torebkę na ramię. Chwyciła ją i wówczas z szafki wyleciała kartka papieru. Zdumiona pochyliła się, by ją podnieść.

ZAŁATWIĘ CIĘ, SUKO.

Bianka spojrzała na zamek szafki. Nie był wyłamany. Jeszcze raz zerknęła na kartkę, jakby szukając na niej jakichś charakterystycznych cech. Nie było żadnych. Biała kartka, pismo komputerowe.

Zwinęła papier w kulkę i wrzuciła do torebki. Westchnęła ciężko. Najchętniej wróciłaby do domu i położyła się do łóżka, ale dzień się dopiero zaczynał, a czekało ją wiele zajęć.

Już w pierwszej chwili, kiedy weszła do Madisona, miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się raz i drugi, lecz nikogo nie rozpoznała. Dokoła tylko anonimowi ludzie spiesznie robiący zakupy. Stała przed witryną księgarską, próbując kątem oka dojrzeć nieznanego intruza. Może ktoś mnie rozpoznał, pomyślała, i teraz patrzy na mnie z daleka. Cichy wielbiciel albo...?

To nie powód, by zachowywać się jak paranoiczka, stwierdziła i zjechała ruchomymi schodami do Almy.

Musi przyspieszyć, a nie co chwila przystawać i się nad wszystkim zastanawiać. Za dużo myśli, za mało działania. Miała wrażenie, że kolacja, na którą robiła właśnie sprawunki, ją przerasta, choć początkowo uznała, że to doskonały pomysł. Zaprosi rodziców na swoje trzydzieste urodziny. Spędzą ten czas tylko we troje, delektując się przysmakami, pijąc wino i rozmawiając o... No właśnie – o czym? Bianka najchętniej posłuchałaby opowieści z dzieciństwa, z czasów, kiedy wszystko było jasne i dobre, ale teraz zaczynała mieć wątpliwości.

O szlag! Znowu zastygła przy samym wejściu do sklepu. Dobra, to naprzód, tylko jeszcze raz się obejrzy. Teren czysty. Do środka.

Całe szczęście, że przygotowała listę zakupów. Wiedziała, że jest w tych sprawach zapominalska. Właśnie. Nie miała monety do wózka.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan rozmienić...? – Uśmiechnęła się do mężczyzny w średnim wieku.

– Oj, przykro mi. Ale wie pani co? Niech pani weźmie moją. – Wcisnął jej do ręki dwuzłotówkę.

– Nie mogę... – próbowała protestować z niewinną minką, ale mężczyzna się nie poddawał.

– Za ten piękny uśmiech.

Wzięła. Skoro dawał. W swoim trzydziestoletnim życiu zdążyła się nauczyć, że nie należy odrzucać żadnych darów.

Bianka obróciła się raz jeszcze i pocierając nadgarstek, ruszyła w kierunku półek. Nie rozćwiczyła rano palców i czuła teraz dziwne skurcze. Powinna zrobić sobie USG ręki, zanim stanie się coś strasznego.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan włożyć tę zgrzewkę do wózka? Sześć butelek. Jedna, druga...

– Umiem liczyć.

Zatrzepotała rękami do ucznia gimnazjum. To zawsze działało.

– Och, dziękuję bardzo. – W myślach dokończyła liczenie. Musiało się zgadzać.

Zakupy przebiegały według planu, ale uczucie irracjonalnego lęku pozostało. Tłum ludzi coraz bardziej ją przerażał. A jeśli nabawiłam się agorafobii? – pomyślała. Co będzie z moim życiem, z występami?

Coraz bardziej rozdygotana Bianka stanęła przed kasą.

– Jakie cudne gniazdko sobie, skarbie, uwiłaś. – Matka przysłała pierwsza, jak zwykle punktualnie, o siódmej.

Bianka była z siebie dumna. Mieszkanie starannie wysprzątane, świeczki zapalone, stół elegancko nakryty. Poświęciła temu wiele godzin.

Matka też stanęła na wysokości zadania. Rude włosy wyjątkowo upięte, choć nieco rozczochrane z przodu. Sukienka wprawdzie z plamką na samym przodzie, ale ogólnie strój jak na nią wyjątkowo odświętny.

– Taki drobiazg. – Podała córce torebkę z Biedronki. –

Przepraszam, nie miałam papieru. A poza tym bardziej ekologicznie.

– Oj, dziękuję, mamusiu. – Wyjęła dość spory karton z torebki. – A co to takiego? Masażer do stóp?

Matka wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

– Stopy są bardzo ważne dla zdrowia. Wiesz, ile jest w nich receptorów? Ludzie w ogóle ich nie doceniają. – Mówiąc to, zaczęła krążyć po mieszkaniu i robić przegląd durnostojek na półce.

Bianka przywoziła je z tournée, wiedziała, że są troszkę kiczowate, ale nie mogła się oprzeć kupowaniu miniatuerek wieży Eiffla czy koników z Dalarny. Zawsze stały w określonym porządku na jednej półce. Teraz poczuła lekką irytację, jak zawsze, gdy bez pytania dotykano jej rzeczy, a jeszcze bardziej, gdy je przestawiano. Postanowiła jednak nie reagować. Będzie oazą spokoju, jak zalecał jej kiedyś psycholog. Nic nie wyprowadzi jej z równowagi. Powinna robić swoje. Wszystko zgodnie z planem. Zacznie od umycia rąk.

Uśmiechnęła się do matki, najśłodziej jak potrafiła.

– Posiedź tu chwilę, a ja zajrzę do kuchni.

– Wolę ci towarzyszyć. – Matka odstawiła słonika na niewłaściwą półkę i poszła za Bianką do niewielkiego pomieszczenia. – A co z twoim chłopakiem? – spytała.

– Wyjechał w trasę – odpowiedziała spokojnie, ale gdy sięgała po szklankę, ręka się jej zatrzęsała. Byle tylko nie pytała o menedżera. Bo od razu się zacznie!

– Zamierzacie się pobrać? Chciałabym go poznać. Mam nadzieję, że będę miała okazję, zanim wrócę do Portugalii.

Na szczęście w tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł tata!

– Moja córka piękna jak zawsze! – On z kolei elegancki, w granatowej marynarce z kaszmiru, w szarych spodniach,

prześląknięty zapachem od Diora. – Trzecie piętro, ale cóż to jest dla młodych.

– Tato, nie zauważyłeś windy?

– Windy?

– Przecież to jest nowy budynek. Ma wszystkie udogodnienia.

Ojciec zamilkł, pewnie zawstydzony, że jeszcze do tej pory nie odwiedził córki. Parę razy zapraszała go do siebie, ale nigdy nie miał czasu.

Bodnar wyjrzał przez okno. Widok był imponujący. Wprost na Żuraw i kamienice po przeciwnej stronie Motławy. To właśnie urzekło Biankę, kiedy weszła tu po raz pierwszy. I nawet nie doznała szoku, kiedy agent nieruchomości podał jej cenę. Przeznaczyła na to mieszkanie wszystkie oszczędności i dodatkowo wzięła kredyt. Postanowiła jednak, że nie będzie tego żałować. Kiedy miała wątpliwości, czy dobrze zrobiła, wystarczało, że wyjrzała przez okno, i natychmiast wiedziała, że jest to jej miejsce na ziemi.

– Tylko dlaczego akurat tutaj?

Bianka już chciała odpowiedzieć, gdy włączyła się matka:

– Fantastyczne. I tylko parę minut od filharmonii. Dokoła tyle dobrej aury. Najważniejsze, że to nie bezduszne suburbia.

– Przynajmniej tam nie ma meneli – odparował ojciec, który mieszkał na strzeżonym osiedlu domków na Karwinach, tuż obok trójmiejskiej obwodnicy.

– Są dobre i złe strony. – Bianka natychmiast odnalazła się w swej tradycyjnej roli rozjemcy. – Jest pięknie poza sezonem, ale kiedy pojawiają się turyści, pewnie lepiej byłoby zniknąć.

– Kochanie, ale tak jest zawsze w historycznych centrach. Pomyśl tylko, że dzielisz to miejsce z setkami pokoleń. Czuję tu...

– Błagam cię, Jowita. – Ojciec w teatralnym geście złapał się za serce. – Ja też czuję. Coś się tu przypala.

– Kurde! – Bianka rzuciła się do kuchni.

Przypalały się bakłażany.

Ratowała kolację, mając nadzieję, że podczas jej nieobecności rodzice nie zrujniają atmosfery tego wieczoru.

Na szczęście bakłażany ocalały. Zanim jednak zajmie się risottem, powinna szybko wręczyć rodzicom po kieliszku szampana. Ale najpierw umyje ręce. Raz, dwa, trzy. W takiej kolejności.

Kiedy wróciła do pokoju z tacą, obydwójce stali odwrócenie do siebie plecami po przeciwległych stronach i oglądali fotografie na ścianach.

– Może się napijemy?

– Szampan? – zdziwił się ojciec.

– Skończyłam trzydzieści lat.

– O mój Boże. To twoje urodziny! – Ojciec był zafrasowany. Przyszedł tu z pustymi rękami, a przecież tak dbał, by zawsze przestrzegać wszystkich form i zasad. – Dopiero wróciłem z Brazylii.

– Mówiłam o tym Magdzie, ale nieważne... – Bianka machnęła ręką, lecz już było za późno. – Powiedz, jak ci się tam grało – próbowała zmienić temat.

– Magda! – Matka zaśmiała się głucho. – Przecież ona nas nienawidzi. Założę się, że zrobiła to celowo.

– Jowita, odczep się od niej! Masz manię prześladowczą.

Jednak się zaczyna, pomyślała w panice Bianka. I to przez nią. To ona wspomniła nieszczęsną Magdę, macochę. A dla niej właśnie ojciec je zostawił. Matka uważała, że nigdy by tego nie zrobił, gdyby „ta wywłoka” nie zaszła w ciążę. Dwanaście lat temu. Ale dla matki upływ czasu się nie liczył. To było jak wczoraj! Wciąż żywe i bolesne.

– Zniszczyła nasze małżeństwo. Myślisz, że to nie było dla mnie ważne?

Matka z rozwianymi rudymi włosami i wysuniętym do przodu podbródkiem stanęła naprzeciw ojca. Wyglądała jak waleczna Walkiria.

– Może się napijemy? Mamo? Tato?

– Jak mam z nim pić, z tym zdrajcą! – Jowita zaciskała usta i patrzyła na kieliszki.

Bianka przesunęła szybko tacę w drugą stronę. Dobrze pamiętała wszystkie potłuczone przez matkę zastawy. Najpierw tłukła, krzyczała, a potem płakała przez wiele godzin i zamykała się w swoim pokoju. Ojciec trząsał drzwiami i wychodził z domu.

– Tatusiu? – Głos Bianki przypominał znów głos dwunastoletniej dziewczynki. – Weź kieliszek.

Ojciec wziął i jednym haustem wychylił go. Zorientował się dopiero po chwili.

– Należesz mi jeszcze jeden? Dla toastu?

– Oczywiście. – Posłusznie poszła po butelkę.

Powinna teraz zaproponować wypicie toastu urodzinowego, ale skoro się uspokoili na chwilę – matka przeglądała album z wycinkami prasowymi o Biance, a ojciec książki – to może powinna skończyć przygotowywać nieszczęsne risotto. Dostała na nie przepis od dyrektorki szkoły muzycznej, której hobby stanowiło gotowanie. I to jakie! Zaproszeni na degustację należeli do szczęśliwców.

Ledwie zdążyła wsypać ryż na patelnię, gdy usłyszała z pokoju podniesione głosy.

– Myślisz sobie, że będziesz zawsze wszystkim dyrygować przez całe życie. Trzeba było się trzymać orkiestry! A nie tych swoich abrakadabra! Gongi i misy, po prostu kpina.

– Jakim prawem kwestionujesz moją pracę!

– To nie jest praca, tylko wygłupy. Nie chciało ci się ciężkiej systematycznej roboty, dlatego rzuciłaś dyrygenturę, ot co!

– Bardzo dobrze na tym zarabiam. I leczę ludzi.

– Na świecie pełno idiotów!

– Mariusz, jeśli nie przestaniesz...

– To co mi zrobisz?

Nagle krzyk Bianki z kuchni przerwał kłótnię.

– Dziecko, co się stało? Oparzyłaś się? – Matka była przy niej pierwsza.

Twarz Bianki poszarzała. Szczękała zębami jak w szoku.

– Bianuś? Ręka?

Ojciec spojrział na wyciągniętą dłoń córki. Trzymała w niej telefon komórkowy.

– Znowu!

– Co: znowu?

Matka pochyliła się nad ekranem telefonu.

TY DZIWKO. MYŚLISZ, ŻE O TOBIE NIC NIE WIEM.
DORWĘ CIĘ JESZCZE I URZĄDZĘ.

– To już trzeci raz w tym tygodniu! – Bianka zalała się łzami.

Na patelni zwęgląło się risotto.